

Andrzej Franaszek  
Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie  
franaszek@pro.onet.pl

## **Ostatnia Aleksandria. Lwów Zbigniewa Herberta**

Moim jedynym i prawdziwym miastem jest oczywiście Lwów.  
Wszystkie inne [...] przysły daleko później. [...]  
Lwów, Florencja, Ateny, Jerozolima, Rzym, Ravenna,  
Bayonne, Monachium, Siena, Piza....

Zbigniew Herbert<sup>1</sup>

Nie pisał o sobie w taki sposób, ale był przecież Zbigniew Herbert emigrantem, a dokładniej rzecz biorąc – wygnańcem, który od domów i drzew dzieciństwa został szczelnie odgradzony wolą Stalina i układem jałtańskim. Nawet w rozmowach z przyjaciółmi rzadko wspominał o Lwowie, nie należał do stowarzyszeń przesiedleńców, nie odbył nostalgicznej podróży ani w czasach PRL-u, ani po upadku sowieckiego imperium, nie spisał dykcjonarza lwowskich ulic. Zmuszony do tego ograniczeniami cenzury, może podążając także za literacką strategią, niechętny stawianiu własnego „ja” na pierwszym planie, jeśli szkicował utracony świat, to w kostiumie nadającym osobistemu doświadczeniu wyraz uniwersalny, podobnie jak wtedy, gdy przywoływał postać anioła, aby ukazać torturowanego człowieka,

<sup>1</sup> Archiwum Zbigniewa Herberta, Biblioteka Narodowa, Zakład Rękopisów, Warszawa (dalej: AZH), Akc. 17877, t. 1.

może więźnia Urzędu Bezpieczeństwa, zaś w postaciach antycznych bogów ukrywał stojących wobec dylematu powojennego ujawnienia się żołnierzy Armii Krajowej. W Polsce dopiero pod koniec życia będzie mówił o rodzinnym mieście wprost, w wierszu umieści lwowski Wysoki Zamek, w wywiadach opíše, co wyniósł z tamtego czasu, w rozmowie z siostrą wspomni, że chciałby być pochowany na cmentarzu Łyczakowskim, w podpisach listów umieszczać będzie słowa „Zbigniew Leopoldensis”. Wcześniej co najwyżej dyskretnie napomykał, jak w utworze *Dlaczego klasycy* – o Tukidydesie wygnanym z rodzinnego miasta i o tym, że „egzulowie wszystkich czasów / wiedzą jaka to cena”<sup>2</sup>.

Opublikowany w tomie *Hermes, pies i gwiazda* wiersz *Moje miasto* opisuje odbywaną we śnie wędrówkę ulicami – oczywiście nie nazwanego wprost – Lwowa: „śniło mi się że idę / z domu rodziców do szkoły / wiem przecież którędy idę // po lewej sklep Paszandy / trzecie gimnazjum księgarnie / widać nawet przez szybę / głowę starego Bodeka”. Droga przynosi nie pocieszenie, a lęk, znana niczym własna kieszeń siatka ulic zamienia w labirynt: „chcę skręcić do katedry / widok się nagle urywa / nie ma dalszego ciągu / po prostu nie można iść dalej / a przecież dobrze wiem / to nie jest ślepa ulica”. Nie tylko historia, politycy, kreślący granice, ale i własna pamięć okazuje się niewierna, zachowuje coraz mniej, coraz mgliściej, wygnaniec budzi się z poczuciem ogołocenia: „co noc / staję boso / przed zatrzaśniętą bramą / mego miasta”<sup>3</sup>.

Pierwszy, zapisany w Warszawie, szkic do tego wiersza nosi tytuł *Lwów*, a w notatniku z wczesnych lat pięćdziesiątych towarzyszy mu nieco patetyczna dedykacja „memu miastu, w którym nie umrę”<sup>4</sup>. W kolejnych wersjach nazwa grodu nad Pełtwią znika, za to nocą z 28 na 29 października 1954 roku, czyli w dniu swoich trzydziestych urodzin, Herbert opracował krótkie przypisy, poświęcając je tym, „którzy się domyślili, że [...] nie chodzi mi o Zieloną Górę ani o Szczecin, ale o coś wręcz przeciwnego” i wyjaśniając, że sklep Paszandy to – „towary żelazne”, zaś „autor ma do tej firmy przywiązanie byłego jej subiekta”, że „potem jest mowa o ulicy Batorego, która w snach autora zjawia się najczęściej” i gdzie znajdowały się liczne księgarnie „wraz ze słynnym Bodekiem, zasłużonym wydawcą bryków z łaciny”, by wreszcie skonkludować: „czy z wylotu ulicy Batorego było widać wieżę katedry tego w żaden sposób Autor nie może sobie uprzytomnić:

<sup>2</sup> Z. Herbert, *Dlaczego klasycy*, [w:] tegoż, *Wiersze zebrane*, oprac. R. Krynicki, Kraków 2008, s. 359.

<sup>3</sup> Z. Herbert, *Moje miasto*, [w:] tegoż, *Wiersze zebrane*, s. 136.

<sup>4</sup> AZH, Akc. 17955, t. 51.

kto wie, czy ten kompleks nie jest tu genezą utworu”<sup>5</sup>. Pobrzmiewa w tym zdaniu silna więź emocji i wspomnień, ból straty, o której zabrania się sobie mówić na co dzień, i która tym silniej odzywa się we śnie. Ostatecznie jednak wiersz, nie tracąc indywidualnego wyrazu, przybrał postać wielkiej metafory, w której odnaleźć się mogło wielu „emigrantów w złamanych kaszkietach”, choćby i tak chętnie czytający Herberta Niemcy, którzy pozostawili za sobą Wrocław, Zieloną Górę lub Szczecin.

„Wszystko, co najważniejsze w moim życiu, zdarzyło się w domu babki pomiędzy pierwszym a siódmym rokiem życia” – wspominał gdzieś Gabriel Garcia Marquez. Herbert z pewnością nie powtórzyłby tej zręcznej formuły, zbyt ważne były dlań późniejsze, splecione z historią losy, choć akurat postać babki pozostała na zawsze najważniejszą figurą jego religijnego świata. Ale dwie dekady spędzone we Lwowie w wielkim stopniu zbudowały i osobowość poety, i kulturowe zainteresowania, i wreszcie sztukę.

„Urodziłem się w mieście leżącym na wielkim dziale wód, w połowie drogi między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym. [...] Opuściłem je przeszło ćwierć wieku temu, aby tam nigdy nie wrócić. Był to *exodus* raczej niż duchowy wyjazd i chociaż pogodziłem się z historyczną koniecznością, pamiętam jednak dobrze moje rodzinne miasto i nade wszystko lekcję, jakiej mi udzieliło. [...] Ona ukształtowała moją pierwszą wizję Europy” – opowiadał radiosłuchaczom we Frankfurcie nad Menem na początku lat siedemdziesiątych. Obraz był nieco wyidealizowany, ale zarazem ujmujący i wyrazisty. Miasto bowiem „leżało na wielkim skrzyżowaniu dróg z zachodu na wschód i z południa na północ. Średniowieczne mury obronne, gotycka katedra, piękne renesansowe kamienice na rynku, barokowe kościoły tworzyły zaskakująco harmonijną całość, która uderzała każdego przybysza. A przybyszów było wielu i często zostawali tutaj na zawsze. Tak w ciągu długich wieków powstała mozaika wielu kultur i narodów”. Z obcowania z takim miastem można wynieść lekcję pokory, tolerancji wobec tego, co różne od nas. Można, dodajmy, jeśli jest nam też dana wrażliwość, żywa inteligencja, ciekawość, cechy tak istotne dla twórczości autora *Labyryntu nad morzem*. Kiedy „podróżowałem po Europie Zachodniej – mówił dalej Herbert – poszukiwałem instynktownie takich miast i krajów, w których można było śledzić obecność wielu sprzecznych [...] z sobą warstw kulturowych. Pociągała mnie Sycylia ze śladami Greków, Arabów i Nor-

<sup>5</sup> AZH, Akc. 17955, t. 52. Dodajmy, iż członkowie żydowskiej rodziny Bodeków posiadali cały szereg antykwariatów przy ulicy Batorego, w wierszu zaś mowa najprawdopodobniej o zmarłym w 1933 r. Maksymilianie Bodeku, prowadzącym antykwariat oraz wydawnictwo „Vita”, publikujące pomoce szkolne. O topografii zapisanej w tym wierszu pisze Rafał Żebrowski, siostrzeniec autora *Struny światła* oraz autor książki *Zbigniew Herbert. „Kamień, na którym mnie urodzono”*, Warszawa 2011, s. 288.

manów, przeczuwałem bowiem, że to, co ważne, nie tylko w sztuce, ale i w życiu powstaje w pokojowym starciu idei i myśli. Dlatego obce mi było zawsze sztuczne i służące często brudnym celom politycznym wyszukiwanie tego, co nazywamy charakterem narodowym, wszystkie owe szaleńcze próby ustalenia tego, co »czyste romańskie«, »rdzennie germańskie« czy »prawdziwie słowiańskie«<sup>6</sup>.

Niemało można w tych zdaniach odnaleźć. Ślad nieukończonej nigdy książki o Normanach, nad którą Herbert pracował przez dziesięciolecia. Jednoznaczny ideowy wybór, odżegnanie się od wszelkiej maści nacjonalizmów, które współtworzyły krwawą historię nowoczesnego świata. Biograficzny trop, w jakiejś mierze tłumaczący kierunki i intensywność herbertowskich podróży. Czy wreszcie meandry dwudziestowiecznej historii, z powodu których polski poeta mógł o utraconym rodzinnym mieście mówić z większą otwartością w Niemczech czy Anglii niż we własnej ojczyźnie. Ilustracją dla tej sytuacji, w której topografia stapia się z polityką, ale też – tęsknotą, mógłby być jeszcze jeden fragment, tym razem z listu wysłanego przez Herberta z Londynu do niemieckiego tłumacza, Heinricha Kunstmanna, który właśnie wrócił z podróży do Polski: „cieszę się bardzo, że jakoś przypadła Panu do gustu moja Ojczyzna. Teraz może Pan lepiej zrozumie, dlaczego, mimo że miłośnik Zachodu, wracam do swego gniazda. Chociaż prawdę mówiąc, moje gniazdo [to] Lwów”<sup>7</sup>.

\* \* \*

Po blisko siedmiu stuleciach burzliwej historii, kolejny okres świetności w dziejach owego kresowego gniazda przypadł na drugą połowę dziewiętnastego wieku, gdy liczba mieszkańców sięgała stu pięćdziesięciu tysięcy (w tym około połowa Polaków, jedna trzecia Żydów i piętnaście procent Ukraińców). Po Wiośnie Ludów i po przegranych wojnach habsburska monarchia, chcąc nie chcąc, przekształciła się w Austro-Węgry i dopuściła większą swobodę tworzących ją nacji, rozwinie się też autonomia galicyjska, czego widowym znakiem będzie wprowadzenie języka polskiego jako obowiązującego w urzędach. W tradycjach rodzin mieszkających we Lwowie czy Krakowie przez następne półtora stulecia zachowa się legenda „dobrego cesarza” – Franciszka Józefa I, nie inaczej było w rodzinie Herbertów, siostrzeniec poety wspomina, iż w kolejnych mieszkaniach jego wuja „za-

<sup>6</sup> Z. Herbert, *Wizja Europy*, [w:] tegoż, „Mistrz z Delft” i inne utwory odnalezione, oprac. B. Toruńczyk, Warszawa 2008, s. 127.

<sup>7</sup> List Z. Herberta do H. Kunstmanna, Londyn, 23 listopada 1963, [w:] Z. Herbert, *Listy do Heinricha Kunstmanna (1958-1964)*, „Odra” 2012, nr 7-8.

wsze znajdował się jakiś akcent związany z galicyjską autonomią. Z zasady był to niewielki konterfekt cesarza w formie zdjęć<sup>8</sup>. We Lwowie powstał zatem Sejm Krajowy (jego okazały gmach po odzyskaniu niepodległości stanie się siedzibą uniwersytetu), a kolejnymi namiestnikami prowincji będą Polacy – Agenor Gołuchowski, Kazimierz Badeni i Antoni Potocki. Lwowianin Franciszek Smolka zostanie przewodniczącym wiedeńskiego parlamentu, a zarazem inicjatorem usypania we Lwowie (w miejscu ruin wywodzącego się jeszcze z czasów Kazimierza Wielkiego Wysokiego Zamku) kopca, upamiętniającego trzechsetną rocznicę podpisania Unii Lubelskiej, która dała podwaliny dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Tego rodzaju manifestacje nie były oczywiście możliwe na tych polskich terenach, które po rozbiorach przypadły Prusom i Rosji.

Stopniowo zmieniać się będzie architektura miasta, w którego pejzaż wpisane zostaną nowe budynki i pomniki, modernizujące oblicze Lwowa. Sejm Galicyjski i Namiestnictwo, imponujący dworzec kolei żelaznych, wzorowany na paryskiej Operze Teatr Miejski, w którym zawiśnie kurtyna pędzla Siemiradzkiego, kremowo-różowy hotel George, delikatnością sztukaterii kojarzący się nieco ze słynnym weneckim Danieli, neorenesansowy pałac Potockich, który z łatwością wpasowałby się w którąś z bogatych dzielnic Paryża, secesyjne kamienice, których klatki schodowe wykładano porcelanowymi kafelkami. Dzięki prywatnym darowiznom powstają Fundacja i Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich czy Lwowska Galeria Obrazów, w której oglądać można było płótna Tiepola, Guardiiego, Georges de la Tour, Tycjana i Goyi. A także wzmacniające poczucie polskiej tożsamości – Panorama Raclawicka, pomniki Jana Kilińskiego oraz Adama Mickiewicza, ten ostatni odsłaniany w 1904 roku w obecności syna poety, Władysława.

Rozwijało się życie artystyczne, z Lwowem związani byli Aleksander Fredro, Seweryn Goszczyński, Kornel Ujejski i Artur Grottger. Gdy na przełomie stuleci większość z nich spocznie na Cmentarzu Łyczakowskim, obok Rosy, Powązek i krakowskiego cmentarza Rakowickiego najważniejszej z polskich nekropolii, zastąpieni zostaną przez nowe pokolenie twórców, wśród których znaleźli się Jan Kasprówicz, Leopold Staff, Gabriela Zapolska, Karol Irzykowski czy Ostap Ortwin. Miasto przeżywało okres prosperity, stając się jedną z metropolii Austro-Węgier, pozostając w tyle za Budapesztem, tym Nowym Jorkiem ówczesnej Europy, ale dystansując na przykład prowincjonalny Kraków, nadal „malutki jak jajko w listowiu

---

<sup>8</sup> R. Żebrowski, *Zbigniew Herbert*, s. 36.

/ Wyjęte z rondla farby na Wielkanoc”<sup>9</sup>. Dotyczyło to również atmosfery intelektualnej, gdyż – jak pisał Tymon Terlecki – „nie było we Lwowie na przełomie dwu stuleci ucisku rzeczywistości historycznej, nie było Wawelu, jak w Krakowie. Nie było ucisku rzeczywistości politycznej, nie było Ochrazy, jak w Warszawie. [...] Lwów mógł być miastem bardziej zachodnim, bardziej europejskim, bardziej stołecznym niż Kraków i oczywiście niż Warszawa”<sup>10</sup>. Wśród uroczystego obchodzenia narodowych rocznic, fundowania pomników, Lwów stał się ośrodkiem działalności niepodległościowej, siedzibą zarówno legalnych, jak i konspiracyjnych organizacji polskich, choćby Związku Walki Czynnej, którym kierował Józef Piłsudski. Jednocześnie, choć większość Polaków zapewne długo nie zdawała, lub nie chciała sobie zdawać z tego sprawy, w drugiej połowie dziewiętnastego wieku tworzy się narodowa świadomość Ukraińców, co wkrótce zaowocuje nieuchronnymi, coraz bardziej krwawymi konfliktami.

Wielka Wojna rozpoczyna się dla lwowian w roku 1914 werbunkiem do Legionów Polskich. Wśród odjeżdżających wtedy do Krakowa ochotników znajdzie się ojciec Zbigniewa Herberta – Bolesław. Finał przypada na listopad roku 1918, kiedy to za cichym przyzwoleniem Austriaków walczące o własny kraj oddziały ukraińskie niespodziewanie opanowują miasto. W rękach Polaków pozostaje jego skrawek, jednak obrońcom, wśród których przeważają studenci i uczniowie, niejednokrotnie jeszcze dzieci, ochrzczone później „orlętami”, nie tylko udaje się go utrzymać, ale też odnosić militarne sukcesy. Sytuację przesądza odsiecz pod dowództwem Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego oraz przerzucone z Francji kilka miesięcy później oddziały generała Józefa Hallera: w lipcu roku 1919 wojska ukraińskie wycofują się za Zbrucz. Akord ostatni to wojna polsko-bolszewicka oraz jeszcze jedna dramatyczna chwila, budująca mit miasta: chcąc zdobyć Lwów, 1 Armia Konna Budionnego zostaje zatrzymana pod „polskimi Termopilami”, czyli wsią Zadworze, przez kilkusetosobowy oddział; obrońcy zostają wymordowani, ale ich poświęcenie – podobnie jak odwaga trzystu Spartan pod wodzą Leonidasa – daje czas polskim siłom na przegrupowanie, a wrogowie – po raz już ostatni w lwowskiej historii – odstepują od oblężenia.

\* \* \*

„Czymże się pochwalić zdołasz, miasto jedyne? Zegarem bernardyńskim, kopcem Unii Lubelskiej, ślubowaniem Jana-Kaźmierzowym u stóp

<sup>9</sup> Cz. Miłosz, *Traktat poetycki*, [w:] tegoż, *Wiersze wszystkie*, Kraków 2015, s. 398.

<sup>10</sup> T. Terlecki, *Ludzie, książki i kulisy*, Londyn 1960, s. 13; cyt. za: R. Żebrowski, *Zbigniew Herbert*, s. 50.

Panienki [...] Czy może najspierwej tym cmentarzem chłopiąt, który jest Twoją Skalką i Wawelem, biedaku, Westminsterem i Termopilami”<sup>11</sup> – tak u progu lat trzydziestych, choć w stylistyce dość jeszcze młodopolskiej, zwracał się do Lwowa Stanisław Wasylewski, pisarz i dziennikarz. Nietrudno w historii miasta nad Pełtwią odnaleźć pasmo kluczowe dla narodowej mitologii, trwające od czasu ślubów Jana Kazimierza, opisanych później przez prawodawcę wyobraźni pokoleń Polaków – Henryka Sienkiewicza, aż po białe szeregi krzyży na Cmentarzu Orląt. Z właściwą sobie romantyczną siłą mówił o tym Piłsudski: „gdy mroki naszej doli narodowej stawały się najbardziej gęste, ciężkie, Lwowowi przypadło być sercem Polski”. Nic dziwnego zatem, że gdy w odrodzonej Polsce lat dwudziestych, a zwłaszcza trzydziestych pielęgnowano patriotyczne manifestacje, obrządki i edukację, Lwów, w którym dorastał przyszły autor *Raportu z obłązonego Miasta* przodował w tego rodzaju „krzepiących serca” gestach. Jego polscy mieszkańcy mieli wszak głębokie poczucie, iż swą niepodległość wywalczyli, że lwowskie dzieci, harcerze, a wśród nich czternastoletni gimnazjalista Jurek Bitschan, który uciekł z domu prosto na pole bitewne, zgodnie z nakazem Słowackiego szły na śmierć „jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec”. Głęboko polska tradycja wiąże ze zmarłymi, podtrzymywanej wędrówkami na cmentarze w dniu Wszystkich Świętych, tutaj nabierała dodatkowych odcieni – kultu ofiary, złożonej na ołtarzu ojczyzny.

„Odwiedzaliśmy często mauzoleum Obrońców Lwowa [...], a napis na pomniku »*Mortui sunt ut liberi vivamus*« [Umarli, byśmy mogli żyć jako ludzie wolni] zapadł nam głęboko w serce”<sup>12</sup> – wspominała siostra poety. Oglądali też z młodzieńczym zapałem i ufnością w siłę swojego państwa defilady organizowane w święto Konstytucji 3 maja. W pochodzie widać było siwe głowy jadących dorożkami weteranów powstania styczniowego, ale uwagę stojących na chodnikach lwowian i lwowianek przykuwał przede wszystkim 14-sty Pułk Ułanów Jazłowieckich. „Moja młodość upłynęła w uwielbieniu dla Marszałka Piłsudskiego. Był bohaterem, przy którym nie miał szans ani Skrzetuski, ani Old Shatterhand”<sup>13</sup> – wspominał jeszcze jeden lwowianin. Oczywiście nie sposób tu niczego przesądzić, podporządkować jednostkę emocjom zbiorowym, ale wydaje się, iż podobne uczucia towarzyszyły dorastającemu Herbertowi, którego państwowotwórcza szkoła lat trzydziestych wychowywała w kulcie Marszałka, Orląt, męczeństwa, przekonywała o potędze, ba – mocarstwowych ambicjach II

<sup>11</sup> S. Wasylewski, *Lwów*, Poznań 1931, s. 7.

<sup>12</sup> H. Herbert-Żebrowska, *Mój brat Zbyszek*, [w:] *Wierność. Wspomnienia o Zbigniewie Herbercie*, oprac. A. Romaniuk, Warszawa 2014, s. 10 i n.

<sup>13</sup> J. Michotek, *Tylko we Lwowie*, Warszawa 1990, s. 143.



Rzeczypospolitej. Jako już dojrzały intelektualnie człowiek, przygotowując się zapewne do odczytu w Berlinie, zapisze zdanie „zbrodnie kolonializmu polskiego: Ukraina”, by jednak wspomnieć też swoje chłopięce dni, działającą ówczesnie Ligę Morską i Kolonialną, na którą płacił składki zamiast kupować „fiołki dla ukochanej”<sup>14</sup>.

Lwów wywarł szalony wpływ na mnie. Teraz dopiero to doceniam – mówił pod koniec dwudziestego wieku. – Przede wszystkim jako miasto wielonarodowościowe. Od urodzenia niemal zaszczepiony byłem przeciwko wszelkiej ksenofobii. Antysemityzm jest dla mnie czymś niezrozumiałym. Ja się bawiłem z Żydami, to byli moi najlepsi koledzy: z piaskownicy, z boiska, ze szkoły. [...] Miasto to nie zbiór budynków, pomników, placów i mostów – o mieście stanowi atmosfera międzyludzka... I wydaje mi się, że w tym moim mieście była dobra atmosfera międzyludzka, bo polatywał nad nim duch tolerancji<sup>15</sup>.

W późnych latach życia, już w Polsce niepodległej, związał się Herbert z kręgami pravicowymi, a i wcześniej obcy był mu częsty w środowisku literackim wzór biografii, na którą składa się młodzieńcza lewicowość, powojenna, przynajmniej częściowa, akceptacja nowego państwa, jego ideologii i władz, późniejsza ich krytyka, współtworzenie ruchu dysydenckiego i wreszcie demokratycznej opozycji. Ale – umownie mówiąc – konserwatywna orientacja poety bardzo daleka była od postaw, które stereotypowo zwykło się nazywać „endeckimi”, naturalnie w złym sensie tego przymiotnika, gdy staje się on właściwie synonimem nacjonalizmu.

„Zbyszek miał od początku [...] taki pravicowy zgrzyz. [...] On wyszedł z rodziny nie całkiem endeckiej, ale endekoidalnej”<sup>16</sup> – oceniał Zdzisław Najder, jeden z niewątpliwie najbliższych przyjaciół Herberta. Siostrzeniec pisarza, Rafał Żebrowski, autor wnikliwej historii rodziny Herbertów jest skłonny uważać raczej, iż choć pierwsze sympatie polityczne ojca poety były w rzeczy samej endeckie, później i jako legionista Piłsudskiego, i jako po prostu świadomy obywatel II Rzeczypospolitej nie prezentował dzieciom poglądów jaskrawo pravicowych, a jedynie dystansował się wobec wspomnianego, narastającego w latach trzydziestych kultu Marszałka, podkreślał „zasługi i Hallera, i Dmowskiego, co mogłoby prowadzić nas do przekonania, iż był po prostu endekiem. Rzeczywiście, miał przyjaciół, i to nawet bardzo bliskich, mocno zaangażowanych w działalność tego ugru-

<sup>14</sup> AZH, Akc. 17955, t. 89.

<sup>15</sup> *Humanistyka to przygoda. Rozmawia Monika Muskata*, [w:] *Herbert nieznanymi. Rozmowy*, Warszawa 2008, s. 208 i n.

<sup>16</sup> J. Pawelec, P. Szeliga, *Nadgonić czas. Wywiad rzeka ze Zdzisławem Najderem*, Warszawa 2009, s. 216.



powania, ale z pewnością on sam zachowywał rezerwę wobec fundamentalnych jego założeń programowych”<sup>17</sup>.

Najważniejsze przecież są deklaracje samego Zbigniewa Herberta, choćby ta rozmowa, której fragment cytowaliśmy przed chwilą, a w której znajdziemy również kolejne jednoznaczne stwierdzenia: „bogactwem każdej kultury jest wielonarodowościowość. Dla mnie Polska bez mniejszości, zwłaszcza bez ruchliwej, inteligentnej, żywej mniejszości żydowskiej, jest czymś zubożałym. Polska dzisiejsza, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach etnicznie polska, nie jest już tą Polską, którą ja pamiętam, którą lubiłem i z której czerpałem soki”<sup>18</sup>. Dobrze z nimi współgra, także już przywoływana wcześniej, wypowiedź poety dla niemieckiego radia:

jednym z przeoczonych wyników drugiej wojny światowej jest [...] powstanie państw etnicznie czystych. Granice polityczne jak chyba nigdy jeszcze w historii pokrywają się z granicami narodów. [...] Z politycznego punktu widzenia państwo etnicznie czyste jest być może ideałem, ale wątpię, czy jest ono ideałem w świecie kultury<sup>19</sup>.

Ale najpiękniejsze ujęcie tego tematu znajdziemy w audycji poświęconej Paulowi Celanowi, którą Herbert nagrał pod koniec życia. Przywołuje tu Czerniowce, miejsce urodzenia tego poety, ukazując je jako pomniejszone wcielenie Lwowa, dzięki spotykającym się ze sobą wielu narodowościom mogące być „wylęgarnią geniuszy”, gdyż

tam nie było miejsca na ksenofobię i z tego środowiska, z tej Aleksandrii, to była Aleksandria, ostatnia Aleksandria Europy, powstali ludzie, których ja notowałem. Spotykałem i mówię: – A, to z Czerniowiec? – pytam. – Tak, tak. A to wybitny matematyk, a to Canetti – z Czerniowiec. Dan Pagis, najlepszy poeta hebrajski [...] rzucił mi się na szyję, a nic nie wiedzieliśmy o sobie – z Czerniowiec<sup>20</sup>.

Dla ścisłości dodajmy, iż w roku 1939 wśród trzystu trzydziestu trzech tysięcy mieszkańców najbliższej Herbertowi Aleksandrii, czyli Lwowa, Polaków było niespełna sto siedemdziesiąt tysięcy, Żydów – sto cztery tysiące, Ukraińców – pięćdziesiąt trzy,<sup>21</sup> zaś geniusz miejsca odmienne oblicze odślaniał z perspektywy nie Polaków, a pozostałych żyjących tu nacji.

<sup>17</sup> R. Żebrowski, *Zbigniew Herbert*, s. 208.

<sup>18</sup> *Humanistyka to przygoda*, s. 208 i n.

<sup>19</sup> Z. Herbert, *Wizja Europy*, s. 128.

<sup>20</sup> Z. Herbert, *Nieprzemijające światło. O Paulu Celanie*, [w:] *Herbert – studia i dokumenty*, oprac. P. Kłoczowski, Warszawa 2008, s. 282.

<sup>21</sup> Por. G. Hryciuk, *Polacy we Lwowie 1939–1944. Życie codzienne*, Warszawa 2000, s. 50.

W latach trzydziestych bowiem „od Uniwersytetu i Politechniki rozlewały się zajścia antyżydowskie, organizowane przez nacjonalistyczną młodzież polską, połączone z biciem kolegów i koleżanek, a także z zamachami pociągającymi za sobą również ofiary śmiertelne”<sup>22</sup>. Te historyczne fakty warto ukonkretnić, odnaleźć pojedynczych ludzi i wydarzenia, by w pełni odczuć atmosferę czasów. Sięgnijmy zatem do opowieści o profesorze medycyny Franciszku Grörze, szefie jednego z lwowskich szpitali, który „pomagał swoim asystentom żydowskiego pochodzenia, dając im pracę, a nawet chroniąc ich osobiście przed napaściami”:

Fryda Lille wspomina Dzień Zaduszny 1935 roku, kiedy pałkarze pobili kilku żydowskich studentów Politechniki [...] Gdy następnego dnia [...] przybyła do kliniki, by dokończyć w laboratorium rozpoczęty eksperyment, kilku studentów obecnych na wykładzie profesora zażądało, by żydowscy asystenci opuścili salę wykładową. [...] „Wstaliśmy i chcieliśmy wyjść z sali, lecz profesor się temu przeciwstawił, uderzył pięścią w stół i krzyknął: ‘Tu jest klinika, tu są chore dzieci, tu nie ma miejsca na burdy, komu się moi asystenci nie podobają, może opuścić salę!’ Zapanowała w sali cisza, część studentów z ostatnich ławek opuściła salę. Po skończeniu wykładu profesor wprowadził nas tylnymi drzwiami do laboratorium, obawiając się jakiegoś napadu na nas”<sup>23</sup>.

Obok studenckich ruchawek, upokarzającego „getta ławkowego”, endeckiego namawiania do bojkotu sklepów żydowskich czy groźnych rojeń na temat wysiedlenia Żydów na Madagaskar, by polski sklepikarz mógł pozbyć się konkurencji, równoległe toczyła się polska polityka wobec Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, na Kresach niejednokrotnie przybierająca postać działań właśnie – jak w przywołanym herbertowskim zapisie – kolonialnych. Naturalnie ich areną był także Lwów, z punktu widzenia ukraińskiego miasto zagarnięte, w którym Ukraińcy nie mogli na przykład założyć własnego uniwersytetu. Polacy doskonale pamiętali o ukraińskich okrucieństwach z lat 1918–1920, mniej chętnie mówiono o tym, że prawosławne wsie bywały pacyfikowane, płonęły cerkwie, zamykano gazety, osadzano w więzieniach działaczy politycznych. Z drugiej strony rozwijał się i ukraiński nacjonalizm, marzenie o suwerennym państwie, dla którego nie było miejsca ani po stronie polskiej, ani w „ojczyźnie proletariatu”, i antypolska agitacja działaczy Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy: konflikty narodowościowe i religijne nakładały się na konflikt między polską racją stanu a politycznymi dążeniami Rosji Sowieckiej. Na tych samych

<sup>22</sup> R. Żebrowski, *Zbigniew Herbert*, s. 336.

<sup>23</sup> O. Hnatiuk, *Odwaga i strach*, Wrocław 2015, s. 64.

ulicach, którymi galopowali zdobni w żółte proporczyki ulani, spotykali się lewicowi intelektualisci, jak Karol Kuryluk, redaktor naczelny „Sygnałów”, a w 1936 roku współorganizator mającego być komunistyczną, antyfaszystowską manifestacją Zjazdu Pracowników Kultury we Lwowie, w którym brali udział m.in. Władysław Broniewski i Tadeusz Kotarbiński. Czasem zaś toczyły się demonstracje, do „spektakularnego wybuchu” doszło na przykład w kwietniu roku 1936, gdy „od kul policji [...] zginął bezrobotny [...], co w dniach 14–16 kwietnia wywołało zamieszki, w których [...] zginęło czternaście osób, a przeszło sto odniosło rany”<sup>24</sup>.

Na Krakowskiem i Żółkiewskiem gnieździ się i rozradza coraz obficiej żyd lwowski. Z wejrzenia poznasz go łatwo. Chałat, aksamitny kapeluszyk i »grajcarki«, czyli pejsy odróżniają go od mieszkańca Nalewek [...]. W tradycyjnym brudzie i niechlujstwie pleni się, oddalony od życia miasta w atmosferze »neutralności«, którą zademonstrował w czasie obrony Lwowa<sup>25</sup>

– czytał nie prenumeratorem prawicowej gazety, na przykład „Małego Dziennika”, a turysta, który w podróż do Grodu Lwa zabrał cytowany już przewodnik Stanisława Wasylewskiego. Nie zauważał może przy tym, iż pod piórem dziennikarza dochodzą do głosu nie tylko spory polityczne, ale też nieledwie faszystowski sposób opisu, zbliżający tego, który „gnieździ się i rozradza” do zwierzęcia czy robactwa. Nic nie wskazuje na to, by takie myślenie przenikało do rodzinnego kręgu Herberta, warto jednak uświadomić sobie, że sposób odczuwania lwowskiej ulicy lat trzydziestych musiał być bliższy temu językowi niż pięknej opowieści o mieście spotkań wielu religii.

I nie tylko ulicy. Endeccy bojówkarze, z pałkami i kastetami goniący za żydowskim studentem, sprowadzali do najniższego poziomu węzły myślowe, których nie mogła rozwikłać ówczesna inteligencja, także zresztą inteligencja pochodzenia żydowskiego. Polska zrosnięta z trzech zaborów, wykonująca olbrzymią pracę dla stworzenia struktur państwowych, gospodarczo zapóźniona, nie umiejąca rozwiązać problemów chłopów, biedoty miejskiej, mniejszości – pozostawała polem konfliktów, które w części były, obiektywnie rzecz biorąc, nierozstrzygalne. Chcąc przedstawić tę sytuację, współczesny historyk opisuje wakacje roku 1939, podczas których szef katedry matematyki lwowskiego Uniwersytetu, Hugo Steinhaus spotykał się z mieszkającym w Warszawie wybitnym matematykiem Wacławem Sierpińskim, ze Stanisławem Ruziewiczem, wówczas rektorem lwowskiej

<sup>24</sup> R. Żebrowski, *Zbigniew Herbert*, s. 336.

<sup>25</sup> S. Wasylewski, *Lwów*, s. 135 i n.

Akademii Handlu Zagranicznego, prywatnie zaś – ojcem najbliższego gimnazjalnego przyjaciela Zbigniewa Herberta, a wreszcie – z intelektualistami ukraińskimi. Próba rekonstrukcji ich rozmów

pokazuje ukryte pod powierzchnią ogłady animozje, wynikające nie tyle z różnych orientacji politycznych, ile z kultywowanych uprzedzeń narodowych. Z jednej strony były to uprzedzenia polskich kolegów ze środowiska uniwersyteckiego wobec zasymilowanego Żyda, Hugona Steinhausa; z drugiej – nieskrywana niechęć polskiego Żyda do Ukraińców, dzielona z wieloma przedstawicielami polskiej elity; z trzeciej wreszcie – głęboka nieufność części ukraińskiej inteligencji do osób innej narodowości [...]. Ten wzajemny brak zaufania przedstawicieli elit stanie się wkrótce jedną z przyczyn przyspieszonego rozpadu więzi społecznych w Galicji Wschodniej<sup>26</sup>.

Czesław Miłosz, który w Wilnie oglądał podobny splot: polsko-litewsko-żydowski, symboliczny dla ducha czasu obraz odnalazł podczas podróży do Włoch, na ścianach katedry w Orvieto i fresku przedstawiającym przyjście Antychrysta, który „występuje tam w postaci Chrystusa. Pokazuje ręką na serce, z którego buchają płomienie. [...] Ale to, co odbywa się na krawędziach obrazu, świadczy, kim jest: oprawcy klęczą na piersiach swoich ofiar, duszą je związanym w pętlę powrozem albo podnoszą noże do ciosu”<sup>27</sup>. Tę scenę uczynił metaforą tragicznej sytuacji, kiedy posłuch mas zdobywają fałszywi prorocy, głoszący zbawcze recepty będące w istocie jednak wrogimi jednostce, faszystowskimi lub komunistycznymi ideologiami, artysta zaś wydaje się skazany na rolę jeśli nie ich poplecznika, to w najlepszym razie – bezsilnego świadka. Oczywiście tego rodzaju wiedzy nie mógł wtedy zdobyć młodszy od Miłosza Herbert, przedstawiciel pierwszego dorastającego w wolnej Polsce pokolenia, które wkrótce wykrwawi się w partyzantce, obozach i łagrach, powstaniu warszawskim i ubeckich więzieniach. Mimo późniejszego podkreślania wielonarodowego bogactwa Lwowa, jego perspektywa była bliższa większości zamieszkującej miasto polskiej inteligencji: jeśli nawet nie przejawiającej niechęci, to w codziennym życiu, pomijając urok targowego folkloru, najzwyczajniej odgradzonej od ukraińskiej lub żydowskiej społeczności oraz ich problemów.

Co więcej, historia i współczesność miasta, którego obrońcy w 1918 i 1920 roku czuli się spadkobiercami sienkiewiczowskich rycerzy ze Zbaraża, a może i Spartan Leonidasa, kształtowały wyraźne poczucie granicy, przebiegającej niedaleko za murami Lwowa i mającej oddzielać Europę od

<sup>26</sup> O. Hnatiuk, *Odwaga i strach*, s. 154.

<sup>27</sup> Cz. Miłosz, *Rodzima Europa*, Kraków 2001, s. 223.

Azji. Symbolicznym obrazem dla tego przeświadczenia stanie się z czasem u Herberta odwołanie do historii Rzymu i do gimnazjalnych lekcji łaciny.

\* \* \*

Lwów lat trzydziestych, który przemierzał gimnazjalista Herbert, był więc miejscem wielu konfliktów, ale także miastem na nowo otwartym na świat, a zarazem – by użyć cokolwiek wyświechtanego wyrażenia – zapisaną w kamieniu wielobarwną opowieścią o historii i kulturze, ukazującą w pigułce złożoność Europy, zwłaszcza tej Środkowej, spotykającej się na co dzień z przybyszami z bliższego i dalszego Wschodu. Jako pięćdziesięciolatek poeta napisze do węgierskiej przyjaciółki: „urodziłem się nieźle i niedaleko Lwowa [...] rosły winogrona. [...] Kiedy drugi raz będę musiał zjawić się na świecie, przyczepię się do basenu Morza Śródziemnego i żaden diabeł, żaden tyran mnie stamtąd nie ruszy”<sup>28</sup>, i już jako młodzieniec musiał mieć silne, choć wtedy zapewne nie wypowiedane poczucie własnej europejskości, w tym także bycia spadkobiercą kultury śródziemnomorskiej i antycznej. Jego wyrazem było choćby częste wśród lwowskiej inteligencji zainteresowanie filologią klasyczną. Po dekadach doskonale opisał to włoski kompan Herberta, Francesco Cataluccio, przekonany, że polski pisarz

zabiera ze sobą Lwów w każdą podróż [...]. Bardzo często mówił mi o Lwowie i nieraz w swoich wędrownych po Włoszech, stając przed jakimś domem, [...] stwierdzał: »taki jak we Lwowie«. Chociaż dzisiejszy Lwów zmienił się, jego okazałe budowle, parki, kościoły i cmentarze wciąż przypominają, że to miasto ma w sobie coś władczego i wspaniałego [...]. Wyczuwa się w nim duch klasycyzmu, do którego Herbert stale się odwoływał. [...] Klasycyzm może stać się kompasem, miernikiem wartości i wsparciem w życiu — tego Herbert uczył się we Lwowie i zawsze o tym pamiętał. A ja najmilej wspominam nasze dyskusje, dotyczące właśnie świata klasycznego. Herbert mówiąc o nim, zawsze się rozpogadzał, a pewnego razu wygłosił opinię [...]: »Obcowanie z Grekami i Rzymianami to jedyna rzecz, która nas ratuje i pozwala iść przed siebie z głową w chmurach«<sup>29</sup>.

„Architektura Wilna nauczyła mnie uprawiać poezję” – wyznał niegdyś mieszkaniec innego miasta położonego na przecięciu wielu kulturowych dopływów, Tomas Venclova. Młody Herbert, zając sprzedawane w parkach swoje prele, ale i włoskie pieczone kasztany, oglądał katolicką gotycką katedrę, wznoszoną od 1360 roku przez blisko sto lat, później

<sup>28</sup> List Z. Herberta do R. Gimes, Berlin, 12 grudnia 1978, „Zeszyty Literackie” 2005, nr 1 (89).

<sup>29</sup> F. M. Cataluccio, *Herbert we Włoszech*, przeł. S. Kasprzysiak, [w:] *Herbert – studia i dokumenty*, s. 123.

zaś przebudowaną w tak podobającym się Sarmatom stylu barokowym oraz zdumiewającą bogactwem fasady siedemnastowieczną grobową kaplicę Boimów, o której Józef Wittlin pisał, że wprost kapie „od kamiennych ludzi, aniołów i świętych, od inkrustacji i sztukaterji, i to nie tylko wewnątrz, bo i cała fasada wygląda jak czarny kamienny tort lub szkatuła maharadży. [...] Kto by jednak chciał nadwerężyć szyję, nie pożałuje tego, bo przy oglądaniu wnętrza kopuły i latarni naprawdę przypomni mu się Florencja i majoliki delia Robbiów”<sup>30</sup>.

Mijał łączącą inspiracje renesansowe i bizantyńskie wielką cerkiew Uspieńską, nazywaną też wołoską i jej dzwonnice, która „niektórym przypomina wieżę kościoła Madonna del Orto w Wenecji, innym San Spirito w Rzymie. [...] Ale że jest to Italia we Lwowie, więc na wieży wisi największy w kraju dzwon rusiński: Kiryło”<sup>31</sup>. Katedrę ormiańską, której wnętrze właśnie co pokryto imponującą, przypominającą obrazy prerafaelitów polichromią i dzielnicę żydowską z synagogą zwaną imieniem Złotej Róży, za kilka lat doszczętnie zniszczoną przez Niemców. Niezliczone kościoły, choćby barokowych Bernardynów i rokokową świątynię dominikanów, nawiązującą do kościoła św. Karola Boromeusza w Wiedniu, ale też imponujący greckokatolicki sobór św. Jura. Na rynku widział zbudowany przez Austriaków prosty, cokolwiek „koszarowy” ratusz, fantazyjne fontanny z posągami Neptuna, Diany, Adonisa i Amfitriona oraz domy projektowane przez włoskich architektów dla patrycjuszowskich, ormiańskich, niemieckich czy polskich rodzin, jak Kamienica Królewska, której arkadowy dziedziniec wydaje się być częścią oświetlanego słońcem Południa *palazzo*. Na fasadzie jednej z nich odnajdywał uskrzydłonego lwa św. Marka, tu bowiem mieściła się jedyna w polskich dziejach siedziba konsula Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Weneckiej. Podobieństwo lwich postaci z herbów dwóch miast musiało fascynować podrostrka, kolekcjonującego pocztówki, oglądającego albumy malarstwa i rozczytanego w rzymskich autorach. A wszystko to łączyło się z melodią orkiestr grających w parkach, stukotem kół na kocich łbach, gwarem żydowskiej biedoty i ukraińskich chłopów, którzy z okolicznych wsi przywozili na targi sery, jaja, kury czy warzywa.

\* \* \*

Autor *Napisu* nie prowadził dziennika, nie zdecydował się nigdy na przygotowanie książki wspomnieniowej, na udzielenie tak zwanego wywiadu rzeki, wśród jego dzieł nie znajdziemy wariacji na temat „wspo-

<sup>30</sup> J. Wittlin, *Mój Lwów*, Warszawa 1991, s. 46.

<sup>31</sup> S. Wasylewski, *Lwów*, s. 58.

mnień niebieskiego mundurka”, ani „rodzinnej Europy”. Wyjątkiem jest esej *Lekcja łaciny*, przygotowywany, zmieniany przez pisarza latami i ostatecznie nieukończony. Kanwą szkicu są rozpoczynające się dla Herberta w roku 1937 żmudne dni gimnazjalisty, przede wszystkim zaś – jak łatwo domyślić się z tytułu – spotkania ze szkolnym łacinnikiem. Wraz z pierwszymi akapitami przekraczamy próg VIII Gimnazjum i Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego we Lwowie, które

stało na wzgórzu. Był to biały, trzypiętrowy gmach o dużych oknach, z czerwonym, spadzistym dachem. Jeśli wyróżniał się czymkolwiek, to surową prostotą. Fasada bez ozdób, tylko na szczycie znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca orła. Pod płaskorzeźbą jakby miejsce na napis. Najstosowniejsza byłaby łacińska sentencja w rodzaju „*Felix qui potuit rerum cognoscere causas*” lub, jeśli by nas ktoś pytał o zdanie, ale nikt nas o zdanie nie pytał – pouczenie Juwenalisa skierowane do wychowawców młodzieży – „*Maxima debetur puero reverentia*”.

Wchodziło się przez ciężką bramę. Schody, a na szczycie schodów potężny posąg patrona naszej szkoły. Gipsowo białe, zdawałoby się, szczególnie stał się materialną przyczyną uczniowskiego zwyczaju, nie licującego z powagą zakładu wychowawczego. W dostojnej bieli patrona ów lewy but był niepokojąco czarny i wypolerowany od licznych dotknięć, które uchronić nas miały od złych uroków, niedostatecznych not zwanych baniakami i strasznego gniewu naszych preceptorów. Nic nie pomogły surowe zakazy, oddawaliśmy się tym magicznym praktykom z ciemnym chłopskim uporem. W gimnazjum panował kult rozumu, ale, jak wiadomo, nic bardziej nie wpływa na rozwój okultyzmu niż urzędowy racjonalizm<sup>32</sup>.

Dodajmy, że po drugiej stronie klatki schodowej, w bliźniaczej niszy uczniowie widzieli – nie budzącą jednak równie nabożnego stosunku – figurę królowej Jadwigi. Położona przy samym końcu ulicy Dwernickiego, pod numerem 17, szkoła znajdowała się w centrum inteligenckiej dzielnicy, toteż do jej uczniów należeli synowie choćby prezydenta miasta, Stanisława Ostrowskiego, czy sławnego profesora Rudolfa Weigla, wynalazcy szczepionki przeciwtyfusowej. Było to przy tym gimnazjum matematyczno-przyrodnicze, nie zaś – czego łatwo byłoby oczekiwać czytelnikom Zbigniewa Herberta – klasyczne, tak więc przyszły autor *Labiryntu nad morzem* nie zgłębiał w nim zawiłości gramatyki greckiej. W rzeczy samej niewyróżniający się architektoniczną odkrywczością budynek krył szkołę

<sup>32</sup> „*Felix qui potuit...*” – „Szczęśliwy, kto zdołał poznać (pra)przyczyny rzeczy” (Wergiliusz, *Georgiki*); „*Maxima debetur...*” – „Największy szacunek należy się dziecku”. Z. Herbert, *Lekcja łaciny*, [w:] tegoż, *Labirynt nad morzem*, Warszawa 2000, s. 168.



nowoczesną, o przestronnych, widnych salach, połączoną z obszernym boiskiem, sąsiadującą z otwartym kąpieliskiem „Żelazna Woda”, którego nazwa brzmi dziś w naszych uszach nieco poetycko, a którego dwa baseny i wieża do skoków zapewniały możliwość osiągnięcia perfekcji w kraulu lub chociaż krytej żabce.

„Los obdarzył nas uroczym opiekunem klasy, siwym polonistą, którego dla słodyczy charakteru nazywaliśmy Rózią. Natomiast matematyk i łacinnik budzili świętą grozę”<sup>33</sup> – czytamy w *Lekcji łaciny*, wiedząc skądinąd, iż Mieczysław Różycki był również opiekunem drużyny harcerskiej, w czym pomagała mu wcześniejsza kariera wojskowa, zakończona w stopniu porucznika, zaś łacinnik, przezywany Grzesiem, nazywał się Grzegorz Jasilkowski, i w istocie należał do nauczycieli wymagających, ale też nieszablonowych, skoro na przykład wysyłał uczniów na poszukiwanie nagrobnych tablic, wmurowanych w ogrodzenie zakonu bernardynów, z których mieli przepisywać i samodzielnie tłumaczyć łacińskie epitafia<sup>34</sup>. Nie miały też ma urok, wiążąca się z latami gimnazjalnymi Herberta opowieść Rafała Żebrowskiego, którego to wuj namawiał do nauki łaciny, argumentując: „Pomnij, leniwy chłopcze, że brak charakteru zaprowadzi cię na dno upadku, a wówczas może w podłej knajpie ktoś postawi ci wódkę za cytowanie łacińskich sentencji”<sup>35</sup>.

„Grzesio otwierał energicznym ruchem drzwi, [...] lustrował nas przenikliwym spojrzeniem, po czym wyrzucał z siebie sakramentalne: – »*Salvete, pueri*«, na co odpowiadaliśmy gromko: – »*Salve, magister noster*«”...<sup>36</sup>. Chcąc stworzyć galerię postaci, które ukształtowały poetę, zasadniczo wpłynęły na jego rozwój intelektualny, jeszcze przed konterfektami Jerzego Zawieyskiego lub Henryka Elzenberga powinniśmy zawiesić portret gimnazjalnego łacinnika. Tak w każdym razie wskazuje przywoływany tu esej, ostatecznie zmierzający ku ambitnemu zadaniu nakreślenia granic europejskiej tożsamości. U początku jest jednak twarda szkolna ławka i równie twarda dyscyplina, oraz zapamiętany przez ucznia preceptor:

w sile wieku, wysoki, postawny, proporcjonalnie zbudowany. Cerę miał oliwkową, jak ludzie rasy śródziemnomorskiej (potem dowiedzieliśmy się, że pochodzi z Kolchidy). Twarz surową, duży orli nos, u którego nasady przyczepiony był cwikier, jedyny nie antyczny a galicyjski element tej twarzy. Włosy czarne, lekko falujące, i przenikliwe duże oczy. Był dla nas uoso-

<sup>33</sup> Z. Herbert, *Lekcja łaciny*, s. 168.

<sup>34</sup> Rozmowa autora książki ze Zdzisławem Nałęcz-Sobieszczańskim, Gdańsk, 19 marca 2016 r.

<sup>35</sup> R. Żebrowski, *Zbigniew Herbert*, s. 313.

<sup>36</sup> Z. Herbert, *Przerwana lekcja*, „Zeszyty Literackie” 2003, nr 82. W rzeczywistości szkic ten jest fragmentem eseju *Lekcja łaciny*, jednak – już po śmierci autora – wskutek decyzji redaktorów został opublikowany osobno.

bieniem męskości, a także tego, co rzymskie, i łatwo wyobrażaliśmy go sobie w todze obramowanej purpurą lub na czele legionów. Uśmiechał się rzadko, a jeśli już, to sardonicznie, natomiast skala jego gniewu była nieporównana [...] – od ironicznego syku, przez retoryczną tyradę o powinnościach młodzińców, aż do padającego jak jowiszowy grom: siadaj, durniu! Znosiliśmy te ciosy z pokorą, wiedząc dobrze, że *qui bene amat, bene castigat*<sup>37</sup>.

Być może przemawia przez nas cynizm późnej epoki, trudno przecież nie pomyśleć, iż fascynacja ta była głównie udziałem samego Herberta, zaś dla większości jego kolegów lekcje łaciny wiązały się głównie z dławiącym niepokojem, długimi godzinami „zakuwania”, chowanym pod ławką brykiem. Stopniowo jednak lekcje zamieniały się w seminaria tłumaczy szukających najciekawszej wersji przekładu, a nawet, tak ukazuje nam je poeta, w szkołę moralności, gimnastykę dla dojrzewających dusz:

nikt [...] nie obiecywał nam materialnych korzyści, jakie mogą płynąć z czytania Platona czy Seneki w oryginale. Było to po prostu ćwiczenie umysłu, a także zaprawa charakteru, gdyż zmagaliśmy się z rzeczami trudnymi [...] Panował w klasie dryl niemal wojskowy, a dwójce sypały się gęsto. Kiedy atmosfera stawała się nie do zniesienia, nasz profesor-centurion podrywał nas z ławek i pozwalał na całe gardło ryczeć (byle po łacinie), najczęściej »*Ave, Caesar, morituri te salutant*«, więc krzyčeliśmy i jednocząc się w tym krzyku, pokonywaliśmy strach i słabość ducha.

Klasyczny, wykuty antykwą w kamieniu rytm łaciny przynosił jasność rozumowania, nie było w nim miejsca na fałsz, zdawał się wzmacniać używaną na co dzień słowiańską, szeleszczącą mowę, którą można było wokół tego wzorca owinąć „jak bluszcz wokół marmurowej kolumny”. Długie godziny spędzane w gimnazjum przynosiły też wiedzę na temat antyku, życia i organizacji rzymskiego Imperium, które dla użytku uczniów zmieniało się w zbiór szlachetnych przykładów cnoty i poświęcenia. Wreszcie budowało pewność – i tu dotykamy sprawy kluczowej – iż Rzymu tego jest się spadkobiercą, spod portyku świątyni Ateny czy Apollina spoglądającym w dal, w mroczne krainy, zamieszkałe przez barbarzyńców.

Powiedział, że nie będzie nas zachęcał do nauki, liczy tylko na nasz rozsądek i poczucie odpowiedzialności, bo w końcu młodzieńcy rzymscy w naszym wieku przywdziewali togę męską i gotowali się do rządzenia największym imperium świata. Potem [...] zaczął rysować na tablicy plan Forum Romanum [...]. Padały tajemnicze nazwy: Curia, Lapis Niger, Rostra, Basilica Iulia, Via Sacra, źródło Juturny, Portyk Perel. [...] Objaśnienia miały

<sup>37</sup> „*Qui bene amat...*” – Kto kocha naprawdę, karci surowo. Z. Herbert, *Lekcja łaciny*, s. 184.

nastąpić później. Na razie nasz profesor zadowolili się uwagą: „Być może przyjedziecie kiedyś do Rzymu w orszaku prokonsula. Powinniście zatem poznać główne budowle Wiecznego Miasta. Nie chcę, żebyście się pętaли po stolicy cesarów jak nieokrzesani barbarzyńcy”<sup>38</sup>.

W archiwum autora *Napisu* znajduje się książka, która – rzecz można – przetrwała niejeden koniec świata. Opatrzona na pierwszej stronie podpisem „Herbert Zb.”, *Antologia klasyczna dla liceów ogólnokształcących. Zeszyt IV. Z prozy rzymskiej* autorstwa Tadeusza Sinki, opublikowana nakładem Książnicy Atlas, Lwów–Warszawa w roku 1937, zawiera wypisy z pism Cicerona, Seneki, Tacyta, obu Pliniuszów, a także Tytusa Liwiusza<sup>39</sup>. Uczniowie szkoły przy ulicy Dwernickiego czytali również fragmenty *Dziejów rzymskich* tego ostatniego historyka. Do lektur tych odwoła się Herbert po latach, w wierszu *Przemiany Liwiusza*, budując kulturowo-polityczną metaforę, w której dla kolejnych pokoleń Polaków, a może należałoby powiedzieć: mieszkańców Europy wschodniej, starożytny Rzym zmienia swe oblicze: „mój dziadek mój pradziadek [...] Czytając dzieje Miasta ulegali złudzeniu / że są Rzymianami lub potomkami Rzymian / ci synowie podbitych sami ujarzmieni [...] wszystkie podboje wydawały się słuszne / znały po prostu zwycięstwo tego co lepsze silniejsze”. Utwór, będący również parabolą rzeczywistości lat osiemdziesiątych minionego stulecia, upływających w cieniu ciągle – zdawałoby się – niezachwianej hegemonii Imperium sowieckiego, każe w końcu czytelnikom antycznych autorów odnaleźć się w roli ujarzmionych „barbarzyńców”, w samym zaś Rzymie dostrzec jego totalitarne oblicze: „Dopiero mój ojciec i ja za nim / czytaliśmy Liwiusza przeciw Liwiuszowi / pilnie badając to co jest pod freskiem / dlatego nie budził w nas echa teatralny gest Scewoli / krzyk centurionów tryumfalne pochody / a skłonni byliśmy wzruszać się klęską / Samnitów Gallów czy Etrusków / liczyliśmy mnogie imiona ludów startych przez Rzymian na proch”<sup>40</sup>.

*Lekcja łaciny* również zapisuje doświadczenie rozczarowania, choć ma ono inną naturę. Jej bohater staje się dorosłym mężczyzną i wreszcie, mimo przeszkód usilnie stawianych mu przez historię, dociera na Forum Romanum, którego plan doskonale pamięta. Rzeczywistości jednak nie udaje się stanąć na wysokości mitu: nocą, „w zimnym świetle reflektorów to centrum starożytnego świata było wielką szacowną rupieciarnią, dnem, eschatologią cywilizacji, ostatecznym kształtem wszelkiej dumy i potęgi”.

<sup>38</sup> Z. Herbert, *Lekcja łaciny*, s. 169.

<sup>39</sup> AZH, Akc. 17956, t. 4.

<sup>40</sup> Z. Herbert, *Przemiany Liwiusza*, [w:] tegoż, *Wiersze zebrane*, s. 537.

Dawny gimnazjalny legionista musiał się wyzybyć także innych złudzeń: „ziemie, na których urodziłem się, nie należały już wówczas do Cesarstwa Rzymskiego. Ścisłe mówiąc, nie należały nigdy w sensie politycznym. Jeśli należały, to w zupełnie innym znaczeniu tego słowa”<sup>41</sup>. W planie współczesności, polityki – jako Polak jest reprezentantem narodu podbitego i zniewolonego, niczym owi dawni Samniti czy Etruskowie. A jednak nie oznacza to dla niego rezygnacji z podjęcia – naturalnie nie spadku po Imperium, ale dziedzictwa cywilizacji Zachodu. Postanawia zobaczyć rzymską cywilizację u jej geograficznego kresu, tam, gdzie stykała się z „barbarzyńskim” światem, czyli w pobliżu przebiegającego przez Brytanię Wału Hadriana. I w tym właśnie miejscu spotykają się dwie perspektywy, gdyż przybysz niesie w sobie obraz innej granicy, w jego oczach nie mniej wyrazistej, która miała odgradzać nas, spadkobierców Aten i Rzymu od fundamentalnie obcej – Azji. O tym przeświadczeniu mówił też Herbert wprost, zarówno w wywiadach: „wyrosłem [...] w poczuciu, że tu jest kres Europy, tu ostatni kościół gotycki czy barokowy, a dalej zaczyna się step”,<sup>42</sup> jak prywatnych listach: „upadek cywilizacji europejskiej nastąpił 17 września 1939 (wraz z upadkiem Lwowa i Czerniowiec)”<sup>43</sup>.

Wiele mogło być czynników, które współtworzyły w przyszłym autorze „Barbarzyńcy w ogrodzie” tę pewność. Wielowiekowe tradycje i mity Lwowa, o których już wspominaliśmy, państwowotwórcza propaganda, silnie obecna w szkołach i życiu codziennym lat trzydziestych, pamięć wojny roku 1920, widzianej jako jeszcze jedno wcielenie obrony Rzymu przed zastępami współczesnych, komunistycznych, ale też: azjatyckich – barbarzyńców. Już wkrótce zaś, jeśli w młodym człowieku kształtowały się jednak zainteresowania na przykład rosyjską kulturą, zostały one brutalnie zdławione, Rosja bowiem przyszła do jego domu nie pod postacią dzieł Dostojewskiego lub Tołstoja, ale terroru, a także tandetnych gipsowych pomników, czczących Lenina i Stalina. Wskazujemy tu kwestie dość oczywiste, ważniejsze są jednak ich konsekwencje: wszystkie podróże Zbigniewa Herberta będą odbywać się w przestrzeni związanej z dziedzictwem Europy zachodniej, podobnie jak prawie wszystkie jego kulturalne pasje. I tak rosyjskimi poetami, którzy budzili jego bliższe zainteresowanie, byli

<sup>41</sup> Z. Herbert, *Lekcja łaciny*, s. 169.

<sup>42</sup> „Płynie się zawsze do źródeł, pod prąd, z prądem płyną śmiecie. Rozmawia Adam Michnik”, [w:] *Herbert nieznanym*, s. 90.

<sup>43</sup> List Z. Herberta do Z. Ruziewiczza, Warszawa, 27 września 1996; Listy Zbigniewa i Katarzyny Herbert do Zdzisława i Jadwigi Ruziewiczów, Biblioteka Narodowa, Oddział Rękopisów, Warszawa, Akc. 19136, t. 1, 2 (dalej: ZHZR).

tylko Osip Mandelsztam i Josif Brodski, obaj odwołujący się do klasycznego dziedzictwa.

\* \* \*

„Od lat chodzi mi po głowie temat Termopil, o których mówił nam surowy Czesław Nanke. A grecki poeta Kawafis w pięknym wierszu powiada »chwała tym, którzy wyznaczyli sobie w życiu swym Termopile i ich bronią«”<sup>44</sup> – pisał Herbert do Zdzisława Ruziewicza, prosząc go o pomoc o poszukiwaniu źródeł poświęconych „polskim Termopilom”, czyli – jak pamiętamy – bohaterskich obrońcom Lwowa w czasie wojny polsko-bolszewickiej<sup>45</sup>. Eseju mającego ukazać zagładę Europy dokonującą się we wrześniu roku 1939 nie zdołał już napisać, myśląc o tym czujemy stratę, nawet jeśli dla nas, współczesnych Europejczyków kwestia definiującej nasz kontynent metaforycznej granicy jest o wiele bardziej niejednoznaczna. W archiwum poety pozostał jednak maszynopis *Lekcji łaciny*, niepełny, okaleczony niczym antyczny tors. Zakończenie jest wspaniałe. Trudno wyobrazić sobie piękniejszy hołd, złożony przez ucznia swemu nauczycielowi:

wojna wybuchła dokładnie trzy dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Żałuję, że nie widziałem go w mundurze. Wyglądał zapewne wspaniale na czele swojej centurii złożonej z chłopców trochę starszych od nas. [...] Tak została przerwana lekcja. Przerwana, ale nie unicestwiona. Kiedy teraz o tym wspominam, i kiedy piszę te słowa, uświadamiam sobie jaśniej źródło moich przywiązań i pasji. Chciałbym usypać memu nauczycielowi kopczyk z kamieni, ale nie wiem, gdzie szukać jego grobu: w krainie Gotów czy też Hunów<sup>46</sup>.

<sup>44</sup> List Z. Herberta do Z. Ruziewicza, Warszawa, 10 listopada 1995, ZHZR; poeta cytuje fragment wiersza *Termopile* w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

<sup>45</sup> „Szukam sprawdzonych szczegółów o bitwie pod Zadwórzem. We Wrocławiu jest towarzystwo lwowiaków, przeważnie stare sentymentalne pierdoły. Prenumerowałem przez rok miesięcznik »Semper Fidelis«, ale były to przeważnie ziomkowskie (Hupka) wspominki, więc wypowiedziałem prenumeratę, bo z tysiąca wad, jakie plamią moją duszę – nie jestem sentymentalny” – List Z. Herberta do Z. Ruziewicza, Warszawa, grudzień 1995, ZHZR. W archiwum poety zachowały się notatki do eseju o Termopilach i Salaminie (AZH, Akc. 17855) oraz opracowanie autorstwa Stanisława Sławomira Nicieji *Zadwórze – polskie Termopile. Z dziejów obrony Lwowa przed bolszewikami w 1920 r.*, Opole 1990 (AZH, Akc. 17855). Por. także: „Mam nadzieję, że w najbliższym czasie [...] będę mógł Panu przesłać szkic o Termopilach” – List Z. Herberta do A. Nowaka, Warszawa, 14 lipca 1995, „Arcana” 1998, nr 4.

<sup>46</sup> Z. Herbert, *Przerwana lekcja*.

Andrzej Franaszek

**The Last Alexandria. Zbigniew Herbert's Lwów**

The article presents the genealogy of Zbigniew Herbert, one of the most outstanding poets of 20<sup>th</sup> century. It describes how many of Herbert's life and artistic attitudes was influenced by the place of poet's birth – the city of Lvov, for centuries part of Polish Republicae, today – one of the Ukraine's metropolises, still a subject of nostalgia of Polish emigrants. For Herbert Lvov is not only the city of childhood and youth, but first of all a place of meeting, a crossroad of many cultures: Polish, Ukrainian, Jewish or Armenian. According to Herbert himself, this multicultural place shaped his own vision of Europe. On the other hand, in Polish national mythology Lvov is described as a frontier city, which lies close to the border between the Western civilization and Asia, even as an outpost of Europe. This dialectic of “the crossroad” and “the wall” seems to be the source of Herbert's definition of Europe, the continent, which is always multicultural, but at the same time obviously different from the culture, or civilization represented by Russia.

**Key words:** Zbigniew Herbert (1924–1998) Polish writers, biography

**Słowa kluczowe:** Zbigniew Herbert (1924–1998) polscy pisarze, biografia